„Głos Narodu“ Ilustrowany.

MICHAŁ BAŁUCKI.

I znowu sylwetka pośmiertna. W niewiele dni po Sewerze zeszedł z widowni pracy literackiej Michał Bałucki. Obaj z jednej generacyi, a jakież odmienne postacie. Sewer pogodny, liberalny konserwatysta — Bałucki liberał, a na wskróś konserwatywny, niemal kastowy... Środowisko, z którego wyszedł Bałucki i w którem pozostał, wytworzyło w nim człowieka i literata na swoją modłę. Od dzieciństwa nasiąkał goryczą, niezadowoleniem, uczuciem jakiejś krzywdy, skeptycyzmem, który przejawiał się czasami nawet pozorami cynizmu, nieufnością. Na tem tle wrodzony mu dowcip, nie wykwintny, ale cięty, przybrał kształty docinkowości, złośliwości, która przecież wiodła w nim ciągły spór z humorem wesołym i życzliwym. W ten sposób formujący się człowiek miał jednak duszę wrażliwą na prawdziwą poezyę, wchłaniał w siebie wrażenia, któremi karmiły młodzież dzieła Mickiewicza, Krasińskiego, a zwłaszcza Słowackiego, nadto zaś ulegał wpływowi Heinego, który z wielu względów był mu sympatyczny i pokrewny. Wówczas, przed r. 1863 podniosłą była atmosfera w świecie rówieśników Bałuckiego, marzono, gorączkowano się dla ideałów. Bałucki w tej atmosferze czuł się zrazu poetą; poeta wziął w nim najpierw górę, nad innym, powyżej określonym człowiekiem. Lgnął do przyrody (jeden z pierwszych zwiedzał Tatry), do ludu wiejskiego, wczytywał się w zbiory pieśni ludowych, a urok i wpływ starszego od nas Józefa Szujskiego (z jego doby liryczno-patryotycznej), z którym obcowaliśmy najserdeczniej, który przychodząc pieszo z Kurdwanowa, bardzo często w naszem spólnem mieszkaniu, w jednej izbie, noce u nas przepędzał — urok ten podtrzymywał w Bałuckim poetyczne aspiracye. Z owych to czasów uniwersyteckich, przed i po roku 1863 pochodzą jego poemata, ślicznym odznaczające się językiem, jak Ziemowit, Cicha Miłość, Bez chaty... Gdy przeczytał Szujskiemu Cygankę, napisał mu Szujski wiersz, w którym się żali na swoją rzekomą nieudolność do plastyki twórczej, na rozłam myśli itd. a podnosi, że Bałucki ma dar uchwycenia choćby drobnego przedmiotu i ujęcia go w poetyczne kształty. Zbiór lirycznych wierszy Bałuckiego na tle marzeń i miłości zawiera niejedną prawdziwą perłę, a jego przekłady z Heinego są doskonałe. Była to pierwsza epoka literackiej twórczości Bałuckiego, która się bardzo wyraziście i ostro od następnej odcina. Pod wpływem ogólnych katastrof i potrzeby zarabiania na życie, poeta się wyczerpał, a w literacie wziął górę człowiek ów, powyżej określony.



MICHAŁ BAŁUCKI,
† 18 października.

Jeszcze jeden wpływ przyczynił się do tego. Młodzieńcze marzenia były ogólnie patryotyczne; mówił o sobie Bałucki i śmiali się z tego rówieśnicy, że on na polityce nic a nic się nie rozumie. Tymczasem w kraju zaczęły się waśnie i walki politycznych stronnictw, rozgoryczonych — walki równie skrajne, jak naiwne, zaściankowe. Bałucki, w którym już poeta zamarł, przystał do doktryn, które stały najbliżej jego kolebki. Było to dla niego, jak i dla Asnyka, bardzo niekorzystnem, że ich wciągnięto do t. zw. polityki. Periodem przejściowym były powieści, jak »Młodzi i starzy«, w których odzywa się jeszcze młodość »górna«, ale już im znamię nadaje »wiek klęski«. Były to czasy gdyśmy r o b i l i »Kalinę« i »Kraj«. Odtąd zamyka się i człowiek i literat w świecie bardzo ograniczonym co do stosunków i umysłowości, w świecie niższego mieszczaństwa — wyłącznie Krakowskiego i po za te baryery, lubo usiłował, już nigdy nie wyszedł.

Powieści jego obracające się w innych sferach (również i komedye z innych sfer) przejawiają zupełną nieznajomość i ludzi i nawet zewnętrznych stosunków, a przytem wrodzoną niechęć. Natomiast

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 26 października 1901 roku.

jedyną znaną mu sferę umiał i w powieściach i w komedyach dosadnie malować. W komedyach też ostatecznie skrystalizowała się jego twórczość; w nich znalazły otwarte pole dla siebie jego humor, satyryczność, skłonność do karykatury, nie mała zdolność do flamandzkiego malowidła szczegółów, drobiazgów, oraz tendencyjność i jednostronność. Pod względem scenicznym odznaczają się komedye i farsy jego wielką ruchliwością, dobremi rolami, swobodnym humorem, wcale nie wybrednym, ale pobudzającym do zdrowego śmiechu, a nie wymagającym zgoła myślenia, skupienia... Te zalety zapewniły im powodzenie, i pozostaną one na zawsze prawdziwem zwierciadłem pewnych sfer i pewnej doby. Koźmian wystawił pierwszy jego pierwszą komedyę »Radcy pana Radcy«, a grali Hoffmanowa, Rapacki, Benda. Wielkie było powodzenie, i odtąd Koźmian i wszystkie teatry nasze ubiegały się o jego utwory. Przez lat 30 utrzymują się dotąd na scenie: »Dom otwarty«, »Grube ryby«, »Klub kawalerów«, a na wznowienie zasługuje ułożona względnie najmisterniej: »Pracowici próżniacy«. A kiedyś, gdy historycy literatury zwrócą uwagę idących pokoleń na rzeczy, których one nie znają — liryki Bałuckiego — poety, odzyskają swoje znaczenie. — Późniejsze jego utwory nie miały już powodzenia. Nic dziwnego. On pozostał sobą, w tej samej sferze, z temi samemi, często dziwnie ciasnemi wyobrażeniami, z tą samą fakturą, powtarzał się i wyczerpał, nie mając siły wydobycia się na inne drogi, na szersze horyzonty. Tymczasem zmieniły się i stosunki i wyobrażenia i technika teatralna i wymagania publiczności. Bałucki wiedział to i odczuwał boleśnie, choć przed nikim zniechęcenia swojego nie zdradzał. I jemu już nie wystarczały i zawiodły go wyobrażenia, przekonania, poglądy i nawyczki, w których chłopiec niegdyś rósł i w których zaklętem kole wiek męski przeżył. Powstała też ztąd tragedya i człowieka i literata i tragicznie się skończyła. W historyi literatury przypadnie mu osobna, znamienna karta, liczni przyjaciele długo będą go wspominali, a wiedzieli, że był to dobry człowiek. Nie można od nikogo żądać więcej, niż mu było danem. A i to należy stwierdzić, że wybił się wyłącznie o własnej sile i pracował nieznużenie.

Dawny.

Morskie Oko a Rada Państwa.

Wilustracyach i w artykułach przedstawiliśmy społeczeństwu fakt haniebnej grabieży Morskiego Oka.

Sprawę tę należy jak najspieszniej wytoczyć przed forum Rady państwa — i powiedzieć tam dobitnie, że praw odwiecznych naszych naruszyć nie damy.

Nie wątpimy, że Koło Polskie wniesie interpelacyę:

Jak stoi sprawa sądu rozjemczego? Jak stoi sprawa najazdu prusko-węgierskiego? Czy obozowisko prusko-węgierskie usunięto, albo czy urządzono obok obozowisko austryackie?

Jak stoi sprawa z wiadomą notą p. Szella do p. Körbera o węgierskiej używalności spornego terytoryum? Czy ją odparto? Przedłożenie Izbie dokumentów.

Nie wątpimy, że Koło polskie należycie interpelacyę uzasadni, a w razie niedostatecznej odpowiedzi wywoła dyskusyę w Izbie i uchwały. — Idzie tu o nasze prawa, których naruszyć nie damy, idzie przytem o honor Austryi. Parlament musi być za nami! Przesłaliśmy do prezydyum Koła polskiego nra »Ilustracyi Polskiej« o sprawie Morskiego Oka — i wraz z całem społeczeństwem polskiem oczekujemy skutku.

Dr Kazimierz Rakowski.

Nowy gwałt pruski.

Nowy gwałt pruski, wykonany na jednym z młodych a najdzielniejszych publicystów polskich, aresztowanie Dra Rakowskiego we Wrocławiu, wywoła u wszystkich słuszne oburzenie.

Kazimierz Rakowski jest rządowi prusko - hakatystycznemu oddawna solą w oku. Urodzony w Królestwie, odbył studya uniwersyteckie w Fryburgu, Heidelbergu i Berlinie, gdzie też w roku 1886 otrzymał doktorat nauk społecznych na podstawie rozprawy o wielkiej własności ziemskiej w Polsce. Tu, w sercu Prus, miał sposobność poznać całą jadowitość i bezwzględność Krzyżactwa, tu, przygotował się do przyszłej z niem walki. Toczył ją bronią publicystyczną i naukowo - literacką. Jako publicysta dał się poznać korespondencyami z Berlina i redagowaniem poznańskiej »Pracy«. Udziałem w tej redakcyi ściągnął na siebie w r. 1898 wydalenie z granic Prus. Osiadł tedy we Lwowie, nasamprzód jako dyurnista biura statystycznego Wydziału krajowego, potem jako korespondent i współpracownik pism kilku. Tu rozwinął też obszerniejszą działalność literacką, której owocami: dramat »Ocknienie«, nagrodzony na ostatnim konkursie Wydziału krajowego, i wartościowe dzieło historyczne o przebiegu wypadków 1848 r. w Poznańskiem. Nadto zasilał swemi pracami tak poważne organa, jak »Bibl. Warszawska«, »Ateneum etc. i przygotował do druku obszerne dzieło statystyczno - deskryptywne o Polakach, rozrzuconych po Niemczech.

Zajęcia te wymagały bezustannego komunikowania się z rodakami i przyjaciółmi z Poznania; płomienna, nieustraszona dusza młodego działacza nie krępowała się też zbytnio ukazami biurokracyi pruskiej. Obecnie wpadł jej w ręce.

Podług ustaw obowiązujących powinny były władze pruskie uwięzionego skazać na drobną karę za przebywanie na terytoryum, skąd został wydalony; zachodzi jednak obawa, iż uwięzienie jego jest gwałtem, mającym umożliwić długie śledztwo z powodu rozmaitych występów publicystycznych, hakatystom bardzo niemiłych.

Różne śluby.

Piszą nam z Wiednia:

Dzieją się na świecie zawsze rzeczy nadzwyczajne, tylko, że w każdej epoce, w innych sferach i w innych kształtach. W sprawach atoli sercowych ponawiają się ciągle »historye stare«. Na książęcych dworach w Niemczech zdarzały się często małżeństwa mezaliansowe, morganatyczne, na lewą rękę i inne zdumiewające, lub gorszące. Były to przecież małe dwory. Nasze czasy »demokratyczne« i w tych sprawach zaznaczają się jaskrawo. Wystarczy przypomnieć, że na tronie bułgarskim zasiadła z Battenbergiem aktorka i spokrewniła się z dworem angielskim. Królewne angielskie wycho-



Dr Ignacy Petelenz,
nowy poseł krakowski do Rady państwa.



Dr Kazimierz Rakowski,
współpracownik »Głosu Narodu«.

dzą za zwykłych śmiertelników, którzy dopiero potem otrzymują tytuły. I stało się, że już Rothschildowie są z dynastyą dumnego Albionu skuzynowani. Na dworze najstarszym, najwięcej ekskluzywnym, austryackim, działy się już takie nadzwyczajności. Arcyksiężna, wdowa po Napoleonie I., poszła za jenerała, potomkami są hr. Neiperg (Neiperg, Montenuovo). Arcyksiąże jeden poślubił córkę poczmistrza, potomkowie są hr. Meran.



Feliks Jasieński.
Rysunek Leona Wyczółkowskiego.
(Patrz artykuł »Z deszczu pod rynnę« w Nrze 5).

Arcyksiąże Jan — zaginiony Johann Orth — poślubił tajnie aktorkę Stubel. Arcyksiąże Franciszek Ferdynand presumptywny następca tronu, poślubił hrabiankę Chotek; potomstwo wykluczone jest od tronu. Królewna arcyksiężna, była następczyni tronu, poślubiła hr. Lonyay, zrzekając się tytułów; wnuczka cesarza, córka arcyks. Gizeli poślubiła oficera, br. Seefried. Nic dziwnego, że po licznych katastrofach rodzinnych, nawet na dworze wiedeńskim zmieniły się wyobrażenia; obowiązująca etykieta hiszpańska jest przełamywaną; cesarz powoduje się wyrozumiałością, łagodnością i ponad »prawa domowe« dynastyi stawia w danym razie, prawa serca, osobiste pragnienia. Nie może też zadziwiać najnowsze wydarzenie na dworze, ale nie szło to łatwo. Gdy na dworze poczęto szeptać o »romansie« arcks. Elżbiety, z oficerem księciem — przeniesiono oficera z Wiednia do Villach. »Mała pani« — to jest jej popularna nazwa — nie dała za przegraną. Napisała list do ukochanego, ale on nie miał zrazu odwagi, oddał list ochmistrzyni dworu. Chciano wtedy wydać »małą panią«; sta-



Dr St. Goliński,
krajowy instruktor ogrodnictwa, który urządził Dział Polski na Wystawie Ogrodniczej w Wiedniu.
(Patrz Nr 5).

rali się o nią książę Ulrich von Würtemberg, syn pretendenta Don Carlosa, Don Jaime Bourbon; ale dostali stanowczą odprawę. Ostatecznie »mała pani« udała się wprost i otwarcie do dziadka i uzyskała zezwolenie. Książęta Windischgrätz byli niegdyś udzielnemi, jako medyatyzowani, mają rangę równą książętym udzielnym. Nie jest to zatem mezalians dla córki zmarłego następcy tronu,



ARCYKSIĘŻNICZKA ELŻBIETA.



KSIĄŻĘ OTTON WINDISCHGRAETZ.

niemniej jednak jest to wydarzenie niezwykłe. Oprócz skłonności narzeczonych, tłomaczą to wydarzenie stosunki. Najbliższem następstwem było, że na zaręczyny pojawiła się znowu na dworze matka hrabina Stefania Lonyay i po raz pierwszy mąż jej hr. Lonyay.

Książę Otton Windischgrätz urodził się dnia 15. października 1873 r. w Wiedniu. Jest szambelanem i porucznikiem w pułku ułanów im. arcyks. Ottona. Ojciec ks. Ottona, książę Ernest Windischgrätz, jest pułkownikiem poza służbą i przed kilku dniami otrzymał godność tajnego radcy. Był on z końcem lat ośmdziesiątych posłem z Krainy i należał do grupy słoweńskiej. Książę Otton ma jeszcze brata starszego, który jest porucznikiem kawaleryi, oraz młodszą siostrę niezamężną.

Quis.

RUDOLF VIRCHOW.

Świat naukowy obchodzi obecnie wielką a rzadką uroczystość: ośmdziesiątą rocznicę urodzin Rudolfa Virchowa. Około sędziwego a czynnego dotychczas na polu naukowem księcia wiedzy zgromadzili się w Berlinie najznakomitsi współcześni przedstawiciele medycyny; ministrowie i reprezentanci wszystkich narodów cywilizowanych składają mu hołd, a wdzięczna ludzkość zapisuje jego imię złotemi literami na kartach swoibh dziejów.

Trzy dziedziny wiedzy uprawiał głównie Virchow, na każdej zaznaczając się jako reformator i mistrz niezrównany. W medycynie, szczególnie w patologii wyrugował zastarzałe poglądy metofizyków, »filozofów przyrody« i proklamował obserwacyę i eksperyment jako podwaliny; specyalnie stworzył patologię komórkową, naukę, szukającą w komórce i jej miarach podstawy wszelkiej choroby (Vorlesungen über Cellular Pathologie in ihrer Begründung auf physiologische und pathologische Gewebelehre, 1859). Przed Virchowem wierzono, że choroba powstaje skutkiem złego układania się soków żywotnych, on wykazał, że siedlisko choroby spoczywa w komórce, jako w elementarnej formie życia; wszelkie życie jest jest związane z komórką, tylko przez jej badanie anatomiczne i porównywanie zdrowych komórek z choremi, można dojść istoty choroby. Metodzie tej nowoczesna medycyna zawdzięcza też wszystkie swe postępy.

Dalej pracował Virchow niestrudzenie na polu antropologii. Badał czaszki i groby stare, wykopaliska trojańskie i pamiątki po człowieku przedhistorycznym, znamiona zaś żyjących i narzędzia obrzędów, zabaw, pracy, stroje — i przyczynił się niemało do zespolenia tych materyałów w ścisłą naukę i do zbudowania jej wspaniałej siedziby międzynarodowej w Berlińskiem Muzeum etnologicznem.

Trzeciem polem twórczem dla Virchowa jest higiena. Jako młodziutki lekarz został w r. 1848 wysłany przez rząd pruski na Górny Śląsk dla badań nad tyfusem; zetknął się wtenczas z nędzą materyalną i zdrowotną i śledził ją potem przez ługie lata we wszystkich jej kryjówkach, podczas



PRACOWNIA DRA RUDOLFA VIRCHOWA W BERLIŃSKIM INSTYTUCIE PATOLOGICZNYM.

epidemii i w zaułkach miast wielkich. Rozpoczął też z nią wcześnie walkę nieubłaganą i obok Pettenkofera najwięcej w nowych czasach się przyczynił do postępów nauki o zdrowiu, do zapobieganią chorobom przez kanalizacyę stolic etc.

Poznawszy nędzę — poznał lud. Virchow łączył ściśle wiedzę z życiem i dążył — podobnie jak w nauce — do swobody i światła w najszerszem znaczeniu słowa. Jeszcze w r. 1848 został wybrany posłem, mandat jego, jako nie posiadającego przepisanego wieku, był atoli nie ważnym; z powodu udziału w ówczesnym ruchu wolnościowym rząd pruski nie szczędził mu prześladowań — on zaś był w sejmie pruskim i w parlamencie stanowczym, zdecydowanym przeciwnikiem Bismarka. Z żelaznym kanclerzem ścierał się tak ostro, ze obrażony nań w r. 1865 Bismark wyzwał go na pojedynek. Sprawa oparła się wówczas o sejm, dała powód do długich debat na temat, czy poseł powinien odpowiadać z bronią w ręku za wykonywanie obowiązku, z drugiej strony: czy kierownik państwa może narażać swe życie — i rozwiązania nie znalazła. Przeciwnikiem systemu junkierskiego Virchow został potąd, a pamiętnem jest, jak cesarz Wilhelm czcząc przed kilku laty Helmholtza i Du Bois-Reymonda wolnomyślnego Virchowa ostentacyjnie pominął...

Plamy odkrywamy nawet na słońcu. Virchow uczony po dziś dzień zajmuje stanowisko nie jasne odnośnie do teoryi ewolucyi, nie jasnem jest też jego stanowisko polityczne w sprawie polskiej. To jednak, co w zawodzie naukowym wykonał, wystarcza, by mu zapewnić cześć i wdzięczność całego cywilizowanego świata...

Dr K. L.



Z WYSTAWY OGRODNICZEJ w WIEDNIU. — CZĘŚĆ DZIAŁU POLSKIEGO.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Z Pamiętnika panny Hali — jej „Pa“ i „Ma“

Ciąg dalszy.

No, bo że chłopi, to naturalne, któżby za nich robił...

Skierniewice. — „Pa“ poszedł na piwo.

Chciałam kupić miejscową anzichtskartę — nie mają.

Co za barbarzyństwo — jeszcze u nas — to coś okropnego... — A za granicą, to każda stacya, każda wieś ma swoją anzichtskartę!...

Jedziemy dalej... jedziemy...

Same pola... pusto... szaro... brzydko... chałupy... nagie drzewa.

Ciekawam, co tam robi pan Henryk? Mówił, iż zaraz idzie do szpitala... ale napewno poszedł z kolegami na bibę — Oho, kuzynek Jaś, opowiadał mi jak się to uczą i studyują...

Kontrolują bilety... wyjrzałam za niemi i zobaczyłam, że konduktorzy pili w korytarzu wódkę i tak prosto z butelki... to coś okropnego!...

Obok nas, w sąsiednim przedziale siedzi jakieś towarzystwo i mówi po francusku.. pewnie arystokracya!

„Pa“ twierdzi, że to taka końska, z lombardów arystokracya...

Na wyścigach byłam tylko raz jeden — ale niewiem dla czego tam chodzą i tyle piszą — prawda, tualety wspaniałe, ale idą się interesować tem, że konie lecą i panowie spadają na ziemię — tego nie rozumiem.

Jestem pewną, że to robią tylko dla mody!

Chciałam tyle notować, ale doprawdy, że zupełnie nie mam co...

Koluszki. — „Pa“ poszedł na piwo.

Tak mi się chce spać...

Już niemogę jeść cukierków.

Piotrków. — „Pa“ poszedł na piwo.

Stokrotki uciekły z wagonu, ledwie je „Ma“ z pomocą tragarza złapała.

Jakiś oficer wsiadł do naszego wagonu... śliczny, blondyn i wąsiki zakręcone, a usta... bardzo podobne do pana Henryka... Ukłonił się po wojskowemu i usiadł przy mnie... i zaczął coś mówić...

Powiedziałam, że nierozumiem...

Wysiadł zaraz na następnej stacyi, a „Pa“ mi nagadał, że przecież skończyłam pensyę, to powinnam rozumieć, a nie narażać się na Bóg wie co...

Właśnie, że rozumiem, ale nierozumiem. Właśnie, że tak,... tak!...

Strasznie bym chciała, żeby pan Henryk chodził w takim pięknym mundurze, bo te uniwersyteckie, nawet z płaszczami, już mi się przejadły. —

Ale, w Wiedniu muszę kupić sobie „princesów“ i zapalę, w Altenbergu to wszystkie panie palą princesy. —

Ruszamy;

„Pa“ przez okno wymyśla garsonowi, że mają podłą lurę, nie piwo — i obiecuje napisać zażalenie...

Ale nie napiszę, znam go dobrze, machnie ręką i powie, psiakość nożki baranie, bocianem nie jestem, żebym miał świat czyścić — w domu tak jest zawsze...

Ciągle te pola i pola... Zupełnie niema patrzeć na co... Śnieg zaczyna padać... a słupy telegraficzne mają taką zabawną minę... przechylają się w jedną stronę, jakby z nami biegły. .

Boże, jak to już daleko od Warszawy!

. . . .

Na jakiejś stacyjce wsiadła stara, gruba pani, lokaj w liberyi wniósł za nią walizkę i stoi teraz w korytarzu. Boże, jaki ona ma kapelusz! ha! ha!

Ale chciałabym, żeby zawsze lokaj nosił za mną... Oglądali by się za mną na ulicach!

Pokłóciła się z „Ma“, bo usiadła młodszemu Stokrotkowi na ogonie — i podobno rozerwał jej okrycie czy tam coś podobnego!

Bardzo dobrze, niech uważa gdzie siada, myśli, że ma lokaja w liberyi, to już jej wolno wszędzie siadać...

Częstochowa. — „Pa“ poszedł na piwo.

Znalazłam anzichtskarte. Brzydka, bo tylko z wieżą klasztorną!...

Napiszę w Pradze, bo jakiś brunet chodzi przed wagonem i zagląda w okno. —

Bezczelni ci mężczyźni.

A ten i brzydki do tego! Nie patrzyłam na niego, a gdy pociąg ruszył, ukłonił mi się... zrumieniłam się.:. to coś okropnego. —

Śnieg taki pada, że boję się żebyśmy nie uwięźli w śniegach!

To byłoby okropne, jechać do Włoch i uwięznąć w śniegach!

Tak mi jest smutno — tak się czuję osamotnioną, że chce mi się płakać...

Ach, ten „Pa“ żeby tak obrzydliwie chrapać!...

Nigdy mężowi nie pozwolę na chrapanie — to wstrętne — to wstrętne. Za to „Ma“ pozwala mu na to! Rozwydrzył się, bo mama za wiele pobłaża, i robi co mu się podoba!...

. . . .

Mam jakieś złe przeczucia... czy aby Zdziś nie zbił mi lustra?...

No tak, ma się rozumieć, zapomniałam grzebyka, a to wszystko przez „Pa“ tak się spieszył, tak naglił — a potem całe dziesięć minut czekaliśmy jeszcze. Napewno, skoro go Rozalia znajdzie — „zje śledzia“.

Śnieg pada coraz gęstszy.

Przypudrowałam się trochę, bo mnie ogromnie twarz pali — muszą o mnie mówić w Warszawie. —

Na stacyach pełno żydów i brudnych, obdartych ludzi — a nikogo z towarzystwa!

Mam jeszcze trzy pudełka cukierków.

W Wenecyi koniecznie muszę kupić sobie żabot koronkowy. —

Jakaś stacya. — „Pa“ się przebudził i koniecznie chciał iść na piwo, ale pociąg zaraz ruszył... „Pa“ zwymyślał konduktora i powiedział, że zaraz w Granicy, napisze zażalenie na takie nieporządki. —

Śnieg przestał padać!

A nawet słońce prześwituje, ale tak nisko, jakby miało spaść...

Aha, tak: „Ostatnie promienie zachodzącego słońca padały na uśpioną czarną ziemię“ — nie dobrze, bo ziemia jest białą od śniegu.

Chciałabym tę kartę dla Ceśki ładnie napisać.

Zaraz: „Najdroższa moja! Jedziemy szalenie. Do Włoch jeszcze daleko -- ale już minęliśmy Piotrków, przejechali nawet Częstochowę. Smutno mi, tak mi żal Ciebie, że nie jedziesz. Śnieg białemi puchami zasypywał ziemię, a teraz słońce zachodzi i ponury mrok przyodziewa słomiane strzechy wiosek, lasów, miast... Zaraz przejedziemy Granicę... a ostatnie promienie zachodzącego słońca ślą nam pożegnanie od opuszczonej, drogiej ziemi rodzinnej i od Ciebie Najdroższa. Czego Ci życzy Twoja Hala“.

P. S. Ucałuj odemnie Nacię.

P. S. Zajrzyj do nas i powiedz Cioci, że zapomniałam grzebyka — leży na stole, w jadalnym, żeby go Rozalia nie ściągnęła...

P. S. Jeśli Ci łyżwy nie będą potrzebne, to odeślij...

. . . .

Wsiadł jakiś gruby pan z dwoma walizami i z wyżłem.

Jezus, Stokrotki się rzuciły na wyżła!

. . . . :

Ten straszny człowiek złapał Stokrotki za grzbiety i wyrzucił je na korytarz!

„Ma“ zemdlała!

Ocuciliśmy „Ma“ — „Pa“ przyniósł Stokrotki...

A ten straszny człowiek kłócił się z „Pa“, że niema gdzie swoich waliz postawić i powiada, że kto wiezie tyle łachów, to powinien je oddać do wagonu bagażowego... „Pa“ się strasznie rozgniewał i krzyczy:

— Pan wyrzucasz moje Stokrotki! to ja kopię w brzuch pańskiego wyżła i wyrzucam pańskie walizy — psiakość nóżki baranie!

I tak kopnął psa, że ten zaczął wyć...

Dobrze, że zaraz była jakaś stacya, bo byłoby się stało coś okropnego!

A jednak, nigdy mnie przeczucia nie zawodzą...

Przyszedł zawiadowca, „Pa“ chciał żeby pisali protokół na służbę, że puszcza do wagonów takich ludzi i psów podobnych do wilków.

Straszny człowiek wysiadł i tak wymyślał, że „Pa“ wołał żandarma, żeby go pociągnąć do sądu za obelgi, ale żandarma nie było.

Pociąg ruszył, a rzeczy nasze mają wziąć na Granicy do opłaty!

„Ma“ wymyślała „Pa“, że jest safanduła i zły ojciec rodziny, że pozwala robić krzywdę Stokrotkom...

Biedne pieski, jeszcze drżą z przerażenia i tak piszczą żałośnie!

Niegodziwi są ludzie, żeby krzywdzić takie biedactwa...

Ledwie się uspokoiłam. — Biłabym takich ludzi!...

Przed Granicą. — Lasy... ogromne lasy. Prawie tak wielkie jak w Otwocku...

„Pa“ chce, abym część papierosów schowała przy sobie... na p... bo jestem tutaj dosyć szczupła... to nie poznają...

Wstydzę się trochę, bo jak ja będę wyglądała?...

Schowałam... i poszłam się przejrzeć... nie, niemożliwa... poznają, bo jestem taka... wypukła... jak ta, co to Zdzisia karmiła...

Ciekawam, czyby się to podobało panu Henrykowi?...

Granica!...

. . . .

Odebrali od nas pasporty!

„Pa“ mi zdążył tylko szepnąć, aby nie mówić, że jedziemy przez Kraków... bo mogliby zapisać i ...

Rozumiem!...

. . . .

Przesiedliśmy do wagonów austryackich!

„Ma“ wzięła Stokrotki pod suknię, bo konduktor niechciał ich puścić!

Żandarmi chodzą i tak dziwnie patrzą... żeby już prędzej... żeby tylko nas puścili... Chyba puszczą, bo przecież my się tam w żadne głupstwa nie wdajemy.. Jesteśmy zupełnie na czysto... a w całym naszym domu niema zupełnie nic zakazanego... był jeszcze po dziadku portret Kościuszki, ale raz przyszedł rewirowy z interesem i tak na ten portret patrzył — że „Pa“ zaraz, sam go spalił i powiedział:

— Co było to przeszło, a my żyć musimy!

Wyjrzałam oknem, ale niewiem, w której stronie ta Austrya...

Jacyś robotnicy wsiadają do wagonów! Więc i robotnicy jeżdżą za granicę?... Ale chyba nie do Włoch? —

. . . .

Szyldwachy... most... woda... woda.. piasek... przejechaliśmy granicę!

To już tutaj „za granicą“?!

Dziwne, ale tego nie widać!

Nie rozumiem; takie same lasy, taki sam wieczór i to jest za granicą?!...

A ja myślałam!...

. . . .

Trzebinia w nocy — Awantura! Sądny dzień!

Boże jak się to skończy!

„Pa“ skonfiskowali w Szczakowie papierosy, „Ma“ herbatę, a mnie cukierki! potem Stokrotki zginęły, że ledwieśmy je znaleźli...

Niedaruję sobie nigdy, że ich nie zjadłam przed granicą... Całe trzy pudełka, i zabrali!

„Pa“ tak krzyczał, tak wymyślał im za to, że chcieli go zatrzymać!...

„Ma“ płacze i modli się, Stokrotki się gryzą, a mnie tak smutno, tak strasznie smutno — żebym chociaż miała cukierki!...

Musimy czekać do rana w Trzebini, bo pociągu niema do Krakowa!

Co za nieszczęście! Musimy spać na krzesłach;

A może „Pa“ jeszcze wezmą do więzienia?...

Nie, takiej hańby bym nie przeżyła.

Dopisek Pa — Ulżyło mi trochę. — Myślałem, że mnie już szlak trafi!...

A szelmy, żeby mnie tak zirytować!

Mnie Jana Gwalberta, mnie obywatela, mnie porządnego ojca i obywatela ciągnąć do protokółów, jak jakiego zbrodniarza!...

. . . .

I te gałgany mają takie piwo!

Boże, Boże Ty widzisz wszystko co się dzieje!

Jadę wesoły, szczęśliwy, że przecież tutaj odetchnę trochę, wygadam się, wyżalę... a tu zaraz w Szczakowej pytają mnie czy czego nie deklaruję?... czy czego nie wiozę?...

A zjadłeś sto par dyabłów, psiakość nóżki baranie! Cóżto, będę im głupie papierosy, cukierki albo herbatę deklarował, czy ja to tem handluję — obywatel jestem!...

A ci robią rewizyę i mnie z żoną biorą na osobność!!!

Świat się kończy, czy co?...

Rewizya — konfiskują — kara — protokół!

Do samego cesarza pójdę, cały świat poruszę, a swojej krzywdy nie daruję!

To ja mam nie palić, moje dziewczątko ma cukierków nie jeść, matka i stokrotki i my wszyscy, mamy herbaty nie pić?!...

Zrozum kto w Boga wierzy — bo ja, Jan Gwalbert, nie potrafię.

Przyjeżdzamy tutaj — niema połączenia z Krakowem, niema hotelu, niema gdzie spać!...

I pytam się raz jeszcze, gdzie jest ta konstytucya?...

Nie, spać na krzesłach w zimnie, nawet bez szlafroka!...

Zgroza! Zgroza!

Gdzież jest ta wolność? proszę mi ją pokazać! psiakość nóżki baranie!

Ja Jan Gwalbert chcę widzieć tę wolność?...

. . . .

Pójdę się chyba napić czegoś, bo czuję, że mnie znowu złość chwyta, a doktór zabrania mi wzruszeń wszelkich...

. . . .

(*C. d. n.*).

Z cyklu: „Jasne noce“.

Czy znasz ty noce jasne...

Czy znasz ty noce jasne, księżycowe?
Cały świat śni...
Płynie woń kwiatów, niebo lazurowe
W świetlane tęcze otuli twą głowę,
Spowije w mgły.

Na pola idzie przejrzysty, skrzydlaty
Tęsknoty cień,
Idzie i skrzydła roztacza na światy,
Na pola, lasy — na łąki i kwiaty
Wśród świateł drgnień.

Idzie na pola, gdzieś w dale promienne
Na szczyty gór,
I mgłami lasy owija wpółsenne
I niebios głębie zasnuwa bezdenne
Zasłoną z chmur.

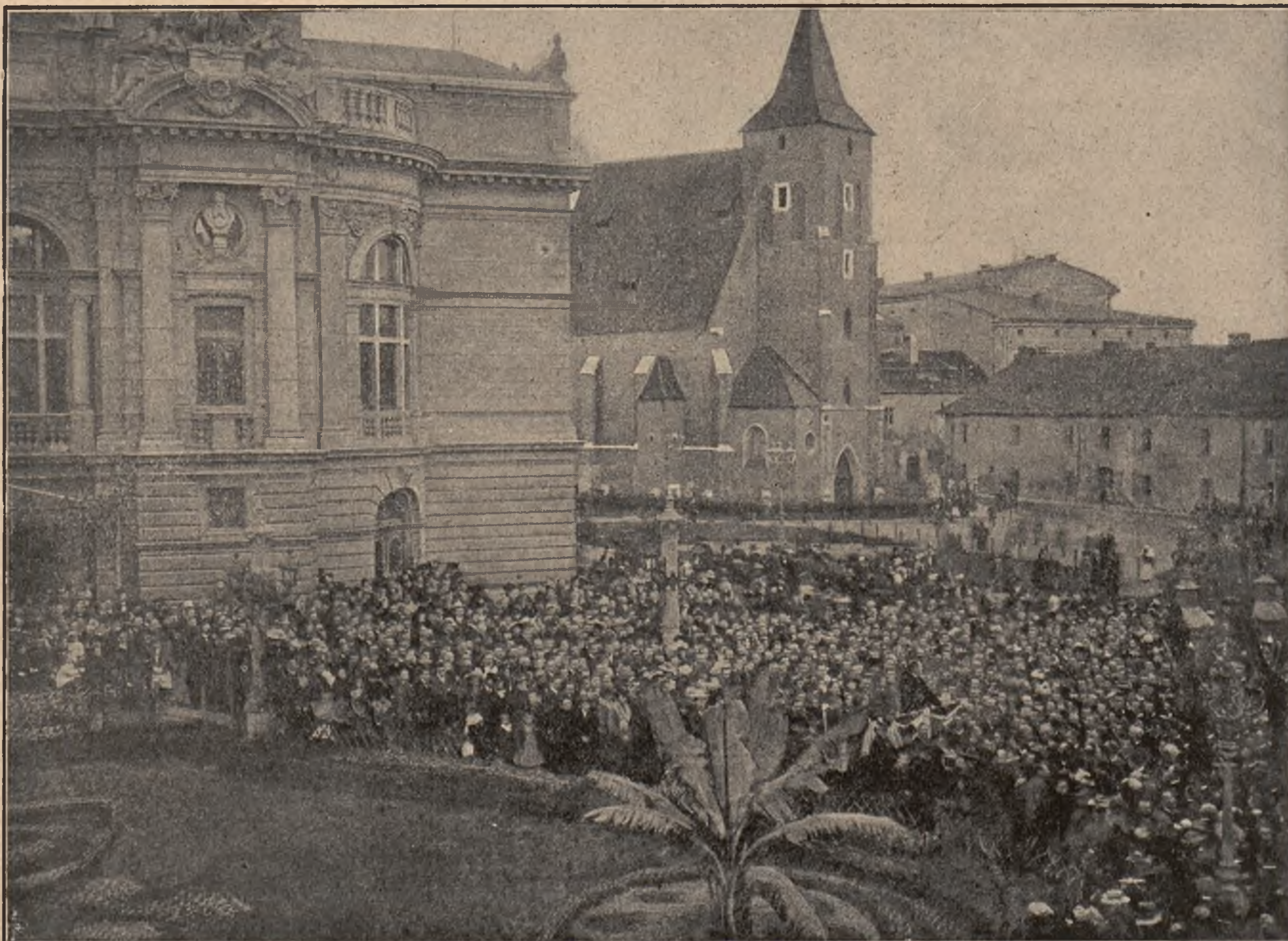
Stanisław Mikulicz.



Ś. P. MICHAŁ BAŁUCKI
w ostatnim roku.
(Rysunek z ostatniej fotografii).



Z pogrzebu Bałuckiego dnia 20 października. — Przemowa Dra A. Sokołowskiego przed domem w ulicy Floryańskiej.



Z pogrzebu Bałuckiego dnia 20 października. — Przemowa dyr. Kotarbińskiego przed teatrem.

Rozbijanie chmur gradowych.

Człowiek w dążeniu swojem do opanowania przyrody jest niepowstrzymanym. Ujarzmił dzikie bestye, wkopał się w tajnie mórz i lądów, przeszywa powietrze milionami drutów, roznoszących jego rozkazy, ściągnął na ziemię piorun.

Obecnie chce ściągać na ziemię deszcz i zniszczyć grad.

Usiłowania w tym kierunku dość starej są daty. Starożytni jeszcze zrobili spostrzeżenie, że po zgiełkowych bitwach — chmury tryskają deszczem, w nowszych czasach zauważono niejednokrotnie gwałtowne deszcze po bitwach (np. pod Magentą i Solferino). Lud wiejski w wielu okolicach także doszedł do przekonania, że gwałtowne wstrzęśnienie atmosfery, szczególnie przez dzwonienie, strzelanie z moździerzy itd. rozbija chmury gradowe. W niektórych prowincyach niemiecko- i. włosko-austryackich strzelanie do chmur z końcem XVIII wieku tak było rozpowszechnione, że powodowało częste wypadki nieszczęścia i zostało przez rząd surowo zakazanem.

Odbywało się jednak w dalszym ciągu we Włoszech północnych, w Szwajcaryi, niektórych okolicach Francyi, a w ostatnich czasach — prawidłowo, systematycznie w specyalnie po temu urządzonych stacyach, specyalnemi armatami. Stacyj tych znajduje się w prowincyi Treviso 70, Padwie 30, Vicenzie 260, Werona 20, Bergamo 133. Na kongresie rolniczym w Padwie, odbytym w listopadzie 1900 r. oświadczyła się większość zgromadzonych rolników przeciw ubezpieczeniu od gradu a za zaprowadzeniem systematycznego rozbijania chmur strzałami armatniemi. Powoływano się na doświadczenie w okręgu Vicenza. Cały ten okręg był przez lato pustoszony straszliwymi gradami — z wyjątkiem jednej wioski, która jak wyspa stała nietknięta — bo miała znaczną ilość czynnych stacyj do rozbijania chmur.

Praktyka zmusiła już nawet austryacki rząd do zwrócenia uwagi na poważne te objawy i zarządzenia doświadczeń naukowych. Wbrew bowiem opinii entuzyastycznych zwolenników rozbijania chmur gradowych strzałami armatniemi — sprawa ta zupełnie rozstrzygniętą nie jest. Odnoszą się do niej negatywnie koła, które miały sposobność czynienia na tem polu mnóstwo obserwacyj — koła wojskowe. Fachowi artylerzyści twierdzą, że mimo licznych doświadczeń i systematycznie prowadzonych spostrzeżeń i nie zauważyli po swych ćwiczeniach owych zmian atmosferycznych, których w danym wypadku oczekują zwolennicy sztucznego zapobiegania gradom.

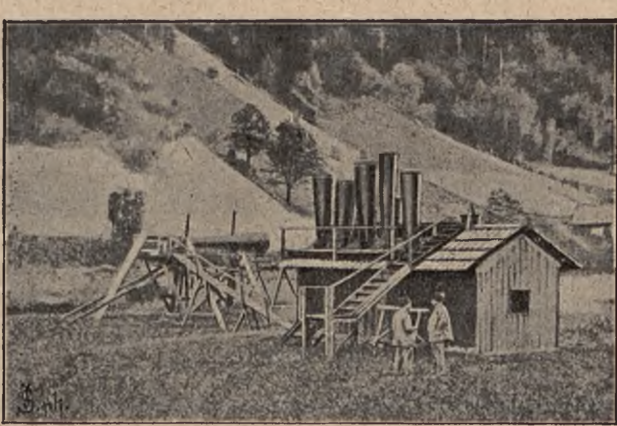
Głos to poważny, ale nie rozstrzygający. Kwestya w ogóle zbyt jest rozległą, aby dotychczasowy materyał wystarczał do ferowania sądu. Rząd zdecydował się tedy na systematyczne w tym kie-

runku studya i urządził kilka szeregów stacyj doświadczalnych, odpowiednio uposażonych, których wyniki mogą mieć nieocenione wprost znaczenie.

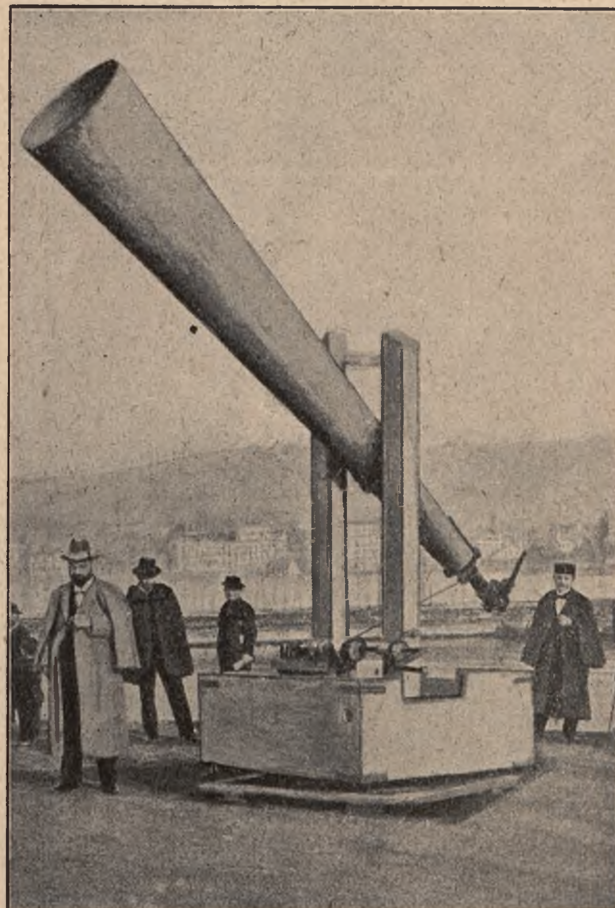
Jest jednak jeszcze jedno »ale«. Doświadczenia oficyalne, gdyby zostały nawet uwieńczone pomyślnym skutkiem — w co wierzy znaczna część specyalistów — spotyka się jednak z znaczną przeszkodą: zbyt wysokim kosztem.

Najnowsza do tego celu służąca armata Szwajcara Kanitza jest w porównaniu z dawnemi znacznie uproszczona — niemniej o masowem rozpowszechnieniu ze względu na koszta nie ma mowy. Nadto grozi zawsze otoczeniu niebezpieczeństwo. Tem więcej na uwagę zasługuje najnowsza próba uproszczenia i potanienia rozbijania chmur gradowych, wyszła z naszego kraju; próba o której pióro fachowe pisze nam, co następuje:

Pod nazwą »Gradochron« zgłoszono z Krakowa patent na nowo wynalezione automatyczne torpedo, mające służyć do rozbijania chmur gradowych. — Przyrząd składa się z trzech części, t. j. lafety, celownika i samej torpedy ze sterem. — Konstrukcya i działanie nader proste: 1. Zwyczajny dwumetrowy kij z twardego drzewa, u góry zaopatrzony w dwa wśrubowane kółeczka, u dołu zakończony metalowym świdrem ziemnym, to lafeta, służąca po wkręceniu do ziemi, jako przyrząd do utwierdzenia torpedy; 2. zwykły kawałek białej blachy w kszałcie rynienki, za pomocą dwóch haczyków przytwierdzony do kółek lafety, to celownik, służący do nadawania torpedzie kierunku ruchu; 3. torpedo, które się składa z dwóch części: *a*) ze steru i *b*) z korpusu. Kawałek oheblowanego kija z drzewa miękkiego, na metr długi, a u końca zaopatrzony w trójgran z tektury — to ster, a 80 cm. długa rurka z cieniutkiej blachy o średnicy 4 cm., to torpedo, której wnętrze podzielone na dwie części: w przedniej na 30 cm. długości znajduje się materyał, przeznaczony do wybuchu, tylna część, 50 cm. długa, podzieloną jest na 6 komórek, połączonych między sobą małymi otworami w środku przegródek. Wnętrze komórek jest wypełnione sześcioma gatunkami materyi wybuchowej o odmiennej sile popędowej, a na dnie torpedy znajduje się mała kapsla, przeznaczona jako schowek na lont. Po zapaleniu lonta iskra po pewnym czasie dostaje się do pierwszej z dołu komórki, zawartość tejże wybucha zwolna i wyrzuca torpedo w poprzednio przez celownik



Działo do rozbijania chmur gradowych
i domek z działami rezerwowemi w Styryi.



Nowe ruchome działo (systemu Kanitza w Zurychu).
Tuba posiada długość 9 metrów

nadanym mu kierunku; następnie ogień zwolna dostaje się kolejno do każdej następnej komórki, a zawartość ich, wybuchając, popycha torpedo co raz wyżej, aż wreszcie masa szóstej komórki zapala materyał, który ostatecznie przyprowadza właściwe torpedo do wybuchu.

Przez ścieśnienie lub rozszerzenie otworów między komórkami da się dokładnie oznaczyć, w której wysokości winno torpedo wybuchnąć. Przy najbardziej ścieśnionych otworach wzlatuje torpedo do 900 m. wysokości.

Dotychczasowe armaty gradowe, stosunkowo drogie, wymagały umiejętnej fachowej obsługi, w przeciwnym bowiem razie narażały otoczenie na niebezpieczeństwo. Nowe torpedo może obsługiwać każdy polowy, a skrzynia, o rozmiarach $1{\cdot}20 \times 0{\cdot}45 \times 0{\cdot}40$, zawierająca 100 torped i lafetę, kosztuje razem 100 koron.

Ludwik Sippel.

LUDWIK SOLSKI.

Czy zdajecie sobie sprawę, moi państwo, rozsiadający się wygodnie w fotelach teatralnych podczas premiery i śledzący krytycznem okiem grę aktorów — co to znaczy grać i pracować na naszych scenach?

Spojrzcie na rozkład dnia któregokolwiek z artystów teatru krakowskiego lub lwowskiego, artystów choćby średniej miary, »użytecznych« — i rozważcie, czy życie artysty naszego, tak ponętne dla



LUDWIK SOSNOWSKI SOLSKI.

niewtajemniczonych bliżej, opromienione jaskrawym blaskiem kinkietów, podniecane tryumfalnym grzmotem oklasków — czy to życie jest istotnie za kulisami różami usłane.

Za kulisami różom nie kwitnąć...

Oto o godzinie 9-ej rano artysta spieszy codziennie na próbę:

Sala chłodna, szara, mroczna, cała jakby pajęczyną osnuta — smutna, brudna. Na scenie, rozświetlonej kilkoma żółtymi płomykami, grono osób zakutanych w paletoty, okrycia — recytuje swe role. *Et la tristesse de tout cela!...* Dziwna szarość, dziwna melancholia czai się w pustej widowni. I taka próba trwa do godziny drugiej, do wpół do trzeciej nieraz.

Po próbie artysta ma czas wolny do wieczora. »Wolny?« Trzeba się przecież roli wyuczyć, obmyśleć, wypracować szczegóły gry. Umysł na chwilę nie odpoczywa, nerwy są w ciągłem naprężeniu.

Wieczorem zaś przedstawienie. Teraz jest przynajmniej światło, morze blasków, kostyumy wytworne, widać rozjaśnione twarze, słychać rozgwar publiczności, oklaski, muzykę. Teraz się żyje chwilą świetlaną — co wynagradza szarość i obojętność dnia. Teraz nerwy grają — i za kulisami panuje atmosfera gorąca — elektryczna — w której się dusza kąpie z rozkoszą — naturalnie, o ile sztuka i sam artysta mają powodzenie. Bo jeśli sztuka pada, jeśli artysta czuje, że od publiczności chłodem wieje na scenę — to wieczór premiery staje się dlań torturą.

Takie jest życie naszego artysty. Rano z reguły próba, w dzień uczenie się roli, wieczorem przedstawienie.

Dodajcie do tego, że i artyści są *irritabile genus*, że za kulisami panują tysiączne zawiści, intryżki — że krzyżują się ambicye i ambicyjki — a przyznacie, że trzeba mieć nielada system nerwowy i ogromnie dużo szczerej miłości dla sztuki, aby módz należycie wywiązać się z zadania w tych tak trudnych stosunkach, jakie nasz teatr przedstawia.

Artystą trzeba się urodzić. Komu krew teatralna nie gra w żyłach, niech za kulisami nie zagrzewa miejsca.

Jednym z prawdziwych artystów, którzy nigdy z posterunku nie schodzą, którzy z niestrudzoną, niewyczerpaną energią pracują dzień po dniu, rok po roku na pożytek naszej sceny, jest Ludwik Solski, ulubieniec Krakowa, który niestety opuścił nas, aby stać się ulubieńcem Lwowa.

Chapeau bas! Stoimy przed artystą, prawdziwym artystą z Bożej łaski, artystą-twórcą, który duszę ludzką w tysiącznych jej charakterystycznych objawach podpatrzył, podsłuchał i znalazł dla niej na scenie wyrazy tak potężne, tak szczere i wierne, że widzem wstrząsa śmiechem lub łzami, wstrząsa do głębi i odsłania mu wiekuiste pierwiastki natury ludzkiej...



Artysta u siebie: Ludwik Solski z żoną, Ireną Pomian.
(Specyalne zdjęcie dla »Ilustracyi Polskiej«).



Solski jako Lelewel
w dramacie »Lelewel« St. Wyspiańskiego.



Solski jako Dogberry (Ciarka)
z »Wiele hałasu o nic« Szekspira.

Ludwik Solski w naszych rozrósł oczach. W ciągu dziesięciu lat przeszedł całą skalę od ról epizodycznych, charakterystycznych, do wspaniałych kreacyj artystycznych, stawiających go dziś w rzędzie mistrzów. Za Koźmiana, a po trochu jeszcze za dyrekcyi Gliksona w starym teatrze Krakowskim »pokazywał« żydków, chłopów, bawił naród kupletami, tańcem. Ale obok tych ról drobnych sięgał powoli do wielkiego repertuaru — potem do największego: do Fredry, Moliéra (wspaniały »Skąpiec«), Szekspira. Żadnej roli nie psuł, z wielu zrobił arcydzieła. Nareszcie za dyrekcyi Pawli-



Solski jako krawiec
z »Hanusi« Hauptmanna.



Solski jako Jowialski.
(Rysunek Augustynowicza).

kowskiego w Krakowie talent młodego artysty zajaśniał w całej pełni. Przebiła się jego natura bujna, bogata, wrażliwa i subtelna. Skala jego talentu jest tak szeroka, że nie wielu artystów światowych może się poszczycić tak bogatym repertuarem. Wobec Solskiego odpada konwencyonalny podział talentów na charakterystyczne, bohaterskie, salonowe etc. We wszystkich sił próbował, zawsze z powodzeniem. Na straży jego gry stoi inteligencya czujna, refleksyjna, wysoce uświadomiona, wnikająca przedewszystkiem w dusze swoich ról analitycznie — ztąd mnóstwo szczegółów charakterystycznych, subtelnych obserwacyj i kunsztyków, którymi gra jego olśniewa; nie popada on jednak nigdy w jałowe wirtuozostwo, bo z krytycyzmem łączy intuicyę prawdziwie artystyczną i zmysł syntetyczny.

Te cechy talentu pozwalają mu wcielać się w dusze wszystkich czasów, wszystkich ludów, wszystkich usposobień i skal psychicznych. Grywa więc z równą doskonałością pełne ognia i krwi role Szekspirowskie, z mistrzowstwem oddaje anemiczne, refleksyjne, nerwowe role modernistów; grywa z jednakowem zamiłowaniem i powodzeniem »Pana Jowialskiego«, jak i postacie z sztuk Hauptmana lub Przybyszewskiego. Dla okazania zaś siły jego w najwyższym zakresie wszelkiego artyzmu, w twórczości — wystarczy przypomnieć wprost genialną jego kreacyę żołnierza-ordynansa z »Warszawianki« Wyspiańskiego. Rola to — niema, statysty, cienia, przesuwającego się po scenie. Wchodzi Solski, wiarus stary, obrośnięty, dziki, zabłocony, resztką sił wyprostowany w sztywnym ukłonie żołnierskim i oddaje generałowi raport. Z postaci jego wieje taka groza, z każdego ruchu chwiejącej się jego postaci, tyle krwi obozowej i męki serdecznej i wymowy ponurej ku nam bije, że tamuje oddech, włos na głowie podnosi. Tak wstrząsa, tak działa — mistrz... twórca.

Są artyści, którzy zawsze interesują.

Bywalcy teatralni, widząc nazwisko takiego artysty na afiszu spieszą do teatru, z przeświadczeniem, że wieczór nie będzie stracony. Ciekawi są nowej kreacyi — i wiedzą, że choćby nawet artysta nie zdołał opanować roli należycie, choćby nie sprostał zadaniu — to w każdym razie stworzy postać szczególną, interesującą, którą należy zobaczyć.

Takich artystów teatr lwowski liczy dzisiaj szereg; należy do nich w pierwszym rzędzie Solski.

Z żalem też spoglądamy dzisiaj z Krakowa do Lwowa, który odebrał nam już tylu ulubieńców, niestety nie zastąpionych należycie przez nowe siły.

Zalety swoje i zasługi wzbogacił Solski jeszcze kunsztem reżyserskim. Podziwiać trzeba zdumiewające bogactwo energii, która temu artyście dozwala grać i czuwać zarazem nad całością przedstawienia, obmyślać efekty sceniczne, sumiennie i bacznie inscenizować premiery.

Ludwik Solski jest obecnie w sile wieku i sztuka polska dużo jeszcze po nim może się spodziewać. Myślący, krytyczny a zarazem syntetyczny umysł, więc z natury już stworzony na reżysera teatru; dobry przytem druh, kolega życzliwy, zaskarbił sobie już dawno nietylko u publiczności, lecz — co trudniej! — także za kulisami mir i uznanie powszechne. Oby — *ad multos annos!*

Lsz.



Stefania Puchniewska.

Stefania Puchniewska.

Nowo zaangażowana pierwsza charakterystyczna sceny Krakowskiej jest dobrą znajomą starszego Krakowa; niejeden tu już tryumf święciła i w pamięci dobrze się zapisała.

Jako młodziutka panna Wierzbicka rozpoczęła była karyerę sceniczną w Lublinie w partyach operowych; »Halka« jej była swego czasu słynną. Z teatru letniego Warszawskiego przeszła była do Lwowa i tutaj, następnie zaś w Krakowie (1877 r.) należała do najpopularniejszych gwiazd operetki. Samą »Halkę« śpiewała w swojem życiu przeszło 300 razy.

Talent jej w dziale komedyi odkrył St. Koźmian i on też ją na tę drogę popchnął. Wyszedłszy za mąż za zdolnego artystę w zakresie ról salonowo-komicznych pana Puchniewskiego, artystka nasza poświęciła się rolom charakterystycznym i na tem polu odniosła w teatrach wędrownych, którymi mąż kierował, zaszczytne sukcesy. Że zasłużone — mieliśmy już sposobność przekonać się w Krakowie. Objąwszy stanowisko, na którem Kraków do niedawna widział p. Wojnowską, p. Puchniewska miała do zwalczenia niejedno uprzedzenie i trudność nie małą. Już pierwszym swym występem w »Jadzi« Mańkowskiego przełamała jednak lody i zdobyła sobie poklask poważnej krytyki. Gra jej o dyskretnym humorze, bez jaskrawych efektów, inteligentna, a w miarę — z temperamentem, najlepsze wywarła wrażenie.

Po deszczu.

Deszcz ustał... Po ulicach szemrzą wody strugi,
Kałuże biorą niebo w rozchwiane kołyski
I igrają tęczami... Rzuca lśniące łyski
Na nie niebo, w złociste osnuwa je smugi...
Inne brudne, bulkocąc, niby wrące ługi
Zieją parą... Wtem słońce w tysiączne rozbłyski
Rozprysło się po szybach i każdy głaz ślizki
Swoim ciepłym uśmiechem osusza z szarugi...
Jeszcze lśniąc wielkie krople drżą na każdym gzymsie —
I nagle zaczajone w nich rzesze rusałek
Rozpierzchną się dokoła w tęczowym migocie,
Zaśmieją się wesoło blaskami — i nim się
Wzrok opamięta, skrzące od ognistych strzałek
Umkną w niebo i w słońca rozpłyną się złocie...

St. Barącz.

Z różnych stron i sfer.

Kto obronił kobiety? Piszą nam z Berlina: Od niepamiętnych czasów rozmaici śledziennicy wygadywali wbrew zachwytom poetów, że budowa mężczyzn jest piękną, ustosunkowaną; budowa zaś kobiet źle ustosunkowaną; wprost brzydką, w ostatnich latach pojawiły się znowu niby nowe książki wykazujące, jako iż kobiety pokrzywdzone są przez macochę przyrody. I wszyscy przytaczają zdanie największego zgryźliwca, Schopenhauera i»... nisko zbudowany, wąskoplecowy, szerokobiodrowy, krótkonożny rodzaj żeński, tylko zamglony, niepoczytalny umysł męski może uczynić pięknymi«... Szerzyły się te herezye, a żaden artysta, żaden filozof nie wystąpił w obronie. Co prawda obrona nie była zbyt potrzebną, jednakże dokonał jej, stanowczo, naukowo... anatom. Profesor Dr. Pfitzner ogłasza w ostatnim zeszycie »Zeitschrift für Morphologie und Anthropologie« z humorem napisaną »Socialanthropologische Studie«, w której wykazują: »Z urodzoną zarozumiałością przedstawiamy mężczyznę jako normę piękności, dlaczego? Bo u kobiety korpus leży o $^1/_2$% całego wzrostu za nisko, wynosi to przy średniej postaci niewięcej 155 ctm. mniej niż 8 milimetrów. Więc figura o 155 ma robić dlatego wrażenie nieestetyczne, że jej główny korpus o $^3/_4$ cm. niżej leży. Gdzież jest artysta o takim oku, żeby ten feler mógł dostrzedz? Mówią, że kobieta, siedząc wydaje się większą niż stojąc, gdyż w stosunku do korpusu, ma za krótkie nogi. O ileż za krótkie? Średnio o 15 milimetrów — to jest mniej niż szerokość małego palca u ręki. Czyteż to może robić jakiekolwiek wrażenie na oko? Darisch wywodzi, że ta wada jest przyczyną, iż kobieta szuka środków ukrycia jej przez długie, powłóczyste szaty, przez sztuczne uczłonkowanie za pomocą talii i gorsetów. Całe to rozumowanie jest wręcz mylne. Ściste mierzenia wykazują wyniki dla męskiej zarozumiałości zawstydzające, że przy jednako wysokiej postaci, stosunek między korpusem, a długością nóg, jest u obu rodzajów zupełnie równy. Stosunek ten nie zależy zgoła od rodzaju, ale od wzrostu (statur). Gorset zatem i wysokie obcasy nie mogą służyć za dowód, że kobiety używają ich, mówiąc terminem prawnym — dla udawania fałszywych faktów — »Vorspiegelung falscher Thatsachen«. Doczekamy się zapewne, że wdzięczne ofiary wiekowych potwarzy, postawią uczonemu profesorowi pomnik. *Dr W.*

Pismo na szkle. — O ciekawych doświadczeniach »Kosmos« oznajmia: »Już przed sześciu laty sprowadził prof. Margat w Genewie, szczególną właściwość pewnych metali, jak cynk, cadmium, a zwłaszcza magnesium i aluminium, że czepiają się szkła i zostawiają na niem metaliczne ślady, wskazał on na to, że możnaby pisać na szkle, jeżeli się jako pióro, lub rylec użyje kawałek którego z tych metali. Jest to zadziwiająeem, że tego odkrycia dotąd nie wyzyskano. Rylcem z aluminium można na szkle tak samo pisać jak ołówkiem po papierze. Pismo to metaliczne ma atoli tę wyższość, że jest trwałem, nieda się ani zmyć, ani zetrzeć. Zdaje się, że metal tak się łączy z powierzchnią szkła, że nawet płyny, które na szkło działają, pismu nie szkodzą. Profesor Berger w Brukseli posunął dalej te doświadczenia. Pismo staje się tem wyraźniejszem, jeżeli się przedtem zwilży szkło kilkoma kroplami krzemiennego jedokwasu potasu. To pismo aluminiowe może znaleźć bardzo użyteczne zastosowania np. na naczyniach szklannych zawierających truciznę i t. p. na których przylepia się nietrwałe i łatwo dające się usunąć, etykiety papierowe. Zapewne i galanteryjny przemysł niebawem z tego odkrycia korzystać będzie. *Bl.*

Social settlements. Piszą nam z Londynu: Denison i Tynnbee zapoczątkowali w r. 1885 t. z. społeczne osiedlenia w. Londynie. Podstawą i warunkiem działania jest, że ci, którzy się tej sprawie oddają, osiedlają się w dzielnicach miasta zamieszkałych przez ludność najuboższą. Starają się zyskać powoli zaufania sąsiaeów, a potem wnoszą między nich na każdem palcu życiowych stosunków podwoiły do wyższej kultury. Otwierają dla nich swoje wygodnie urządzone, gościnne pokoje, jakich ci ludzie zgoła nie znali, darzą ich muzyką, odczytami na zebraniach towarzyskich, utrzymują kursa pożytecznych wiadomości i zajęć: jak gotowanie, szycie, obce języki; przywołuje dzieci z ulicy na zabawy: do podniecających zajęć, uczą dzieci chore, tworzą ambulanse, przeprowadzają systemat goszczenia przez lato ubogich dzieci po dworach wiejskich. Istotą tego działania jest, że osiedlenia nie dają jałmużny, nic za darmo. Np. kąpiel dla dorosłych 12 h., dla dzieci 4 h., herbata z keksami 5 h., udział w wieczorach klubowych 5 h., Ubodzy przychodzą z uczuciem nabytego prawa, a dobroczyńcy spełniają nie łaskę, ale obowiązek, w tem leży tajemnica powodzenia osiedleń ·Gdzie one pozostają zmniejsza się rychło śmiertelność dzieci, pijaństwo; wzrosła liczba dzieci chodzących do szkoły. Rozmiary tego działania można poznać bodaj z jednej liczby: w Bermondley settlement w Londynie zasięgało rady w ubiegłym roku osób 150.000. Ogromną czynność rozwija Women, University settlement, osiedlenie kobiecego uniwersytetu w Londynie i w Ameryce. Rozmiary poświęcenia społecznego są w Anglii i w Ameryce niewątpliwie większe jak zepsucie, lubo jeszcze przecież nie tak wielkie jak niedola społeczna.

Z nieba. Pierwszego kometę wieku XX odkrył z 3 kwietnia 1901 Holls w Queenstown (Capland). Kometa stał w pobliżu słońca, mimo to był gołem okiem widzialny, miał jasny korpus, ogon długi 10^0, stał w gwiazdoskłonie »Ryb« posuwał się ku Orionowi. Odkrył go właściwie w Melbourn (Australia) pewien człowiek, gdy raz bardzo rano po niebie się rozglądał. Wystał zaraz depeszę zastrzegając sobie pierwszeństwo, lecz pod mylnym adresem, do Valencyi, wyspy koło Irlandyi, zamiast do centralnego biura w Kilonii, które regestruje odkrycia. Depesza błąkała się, tymczasem Holls go uprzedził. Fotografia zdjęta na wyspie Mauritius okazuje, że ten kometa ma trzy ogony, z których najdłuższy odstaje o 15^0 od korpusu, czyli o 30 średnic księżyca w pełni. W Europie kometa ten nie jest widzialny, a w Afryce odnoszą pojawienie się jego do wojny anglików z Boerami. Teraz nie można go już gołem okiem dostrzedz, niebawem cały zniknie — więc, tak mówią w Transwalu — i wojna się skończy. — Jupiter dostał od niedawna w odległości 15^0 od swojego równika czarną plamę, okrągłą, którą 2 czerwca odkryto. Na południowej stronie ma on plamę czerwoną, która teraz nieco zbladła. Co znaczą te plamy na największym ze znanych nam planet — dotąd nie zbadano.

Jakób Bojko.

Urodził się 7 lipca 1857 r. w Gręboszowie, pow. Dąbrowskim, tuż blisko Wisły, która stanowi granicę między Galicyą, a Królestwem Polskiem, z ojca ubogiego wieśniaka, który pochodzi z Wojciechowa z Król. Pols. Ojciec jego służył długie lata na plebanii w Gręboszowie, a w roku 1858 osiadł na małym kęsie roli jednomorgowym i tutaj twarde życie wiodąc, umarł w r. 1873.

Obecny poseł nie wesołą miał młodość. Po stracie matki w r. 1869 zapanowała w chacie rodzinnej prawdziwa nędza i były dnie, że i raz na dzień ciężko było o pożywienie. Do szkoły ludowej chodził w Gręboszowie, gdzie nauczycielem był ś. p. Marceli Stohandel, góral, rodem z Chochołowa, człek niepospolitych zdolności. Ten zauważył u Bojki niezwykłą ochotę do książek treści histo-

ALBUM NOWEGO SEJMU

SERYA IV.



Michał Garapich
Tarnopol. Większa własność (kons.)



Zdzisław hr. Tarnowski
Tarnobrzeg, kurya wiejska (kons.).



Stanisław Wybranowski
Tarnobrzeg, kurya wiejska (kons.)



Jakób Bojko
Miasto Lwów (ludowiec).

rycznej, dawał je chłopcu, który jedynie celował w historyi, bo z innych przedmiotów stał słabo.

Śmierć ojca wypędziła go na służbę, gdzie 4 lata bawił. Potem od r. 1878 uczył zimowymi miesiącami dziatwę to w Biskupicach, to w Woli Żelichowskiej, to w Sanocicach, a najdłużej w Hubenicach i Kozłowie. Przy tem zajęciu miał sposobność czytania wiele książek, których mu dostarczali bądź nauczyciele ludowi, bądź notaryusze, lekarze i inni ludzie jemu życzliwi. Nie mając sposobności innej do zwiedzenia kraju ojczystego, trzykrotnie udawał się jako flis Wisłą do Gdańska. W roku 1879 został w rodzinnej wiosce pisarzem gminnym, a w r. 1891 wybrano go wójtem, który to urząd do dziś dnia piastuje. W tym samym roku wybrano go członkiem Rady pow., a na on czas zaszedł w konflikt, głośny swego czasu w powiecie, z miejscowym plebanem. Od tej chwili począł pisywać artykuliki do pism ludowych, treści politycznej, i począł brać udział w wycieczkach, to na zjazdy kółek rolniczych, to na wystawę do Pragi, Poznania i Lwowa, i tu się dał poznać jako nie zły mowca. W r. 1895 wybrano go do Sejmu, a w r. 1897 do Rady państwa z kuryi Tarnów-Pilzno-Dąbrowa.

Dodać jeszcze należy, że żyje w szczęśliwem stadle małżeńskiem, ma pięcioro dzieci, i gospodarzy na czterech morgach roli.

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«. W Drukarni »Czasu« w Krakowie.